

Bałucki i Pipidówka

BYŁY lata, kiedy Bałucki, jeszcze za swojego życia, był bardzo popularny; wystawiały go chętnie teatry: krakowski, lwowski i warszawskie. Potem jednak nie umiał zmierzyć się — jak sam pisał w jednym z listów z „napływem Młodej Polski” i z coraz ostrzejszą krytyką. Nie potrafił odejść od atakowanej konwencji komedii mieszczańskiej. Cierpiał. W liście do Rapackiego (z 1892 r.) żalił się: *Czyż to nie zniewaga, że mnie, który mam za sobą tyle lat pracy literackiej, traktowano w sprawozdaniach i sądzie konkursowym jak niuśka, pajaca, który tylko wyprawia koziołki przed publicznością, aby ją do śmiechu pobudzić.* Odrzucony, nie grany — zastrzelił się na Błoniach krakowskich w 1901 r. W recenzji z 1931 r. Słonimski zauważa, że wielu ulubionych autorów pada w teatrach warszawskich, a Bałucki ma powodzenie. Tak było przez następne lata, tak jest do dziś. Autor „Domu otwartego” nie za często, ale regularnie gości na scenach polskich teatrów. Kilka lat temu w „Teatrze zamkniętym” kończył Greń kolejny felieton melancholijną uwagą: *Tylko na Pląmtach, na tyłach Teatru im. Słowackiego, stoi zapomniany od Boga i ludzi pomnik pisarza. Jakby czekał, przejęty i zaniepokojony, jaki będzie los jego następnej premiery.*

I doczekał się. Oto ta premiera, i to w Teatrze im. Słowackiego. Jan P. Gawlik tak zaczyna wprowadzający do programu teatralnego tekst: *Mija właśnie 85 lat od samobójczej śmierci Michała Bałuckiego i 90 lat od premiery w naszym teatrze „Niewolnic z Pipidówki” — komedii od lat zapomnianej, nawet z tytułu. Odnalazł ją, odchuchał i do prezentacji przystosował Zbigniew Bogdański.*

Myszę, że przedstawienie utrzyma się długo na scenie. Nie ze względu na głębokie czy aktualne treści przekazywane widzom, choć nędza umysłowa, lichota moralna, kulturowo obyczajowe, infantylizm reakcji psychologicznych i kumoterska aktywność postaci z teatralnej Pi-

pidówki ma i dziś, w naszej rzeczywistości społecznej, swoje rozliczne warianty, mnożone z niewyczerpaną pomysłowością i bezwzględnością przez współczesnych bohaterów sceny społeczno-obyczajowej. Pipidówka jest widać wieczna. Rozpełzała nam się dziś szeroko i zakorzeniła się w życiu mocno; nabrała takiej drapieżności, że Bałucki niczego nam, oczywiście, nie odkrywa, wydaje się być dobrodusznym odczułkiem niemalże arka-dyjskiej Pipidówki, w której ludzie bawią się swoją głupotą, nie robiąc sobie nawzajem krzywdy.

Widownia też się bawi — i to jest sukces zarówno Bałuckiego, jak i twórców przedstawienia. Aż dziw bierze, że taka komediowa ramałka sprzed stu lat, nie nadająca się dziś do czytania dla normalnego człowieka, tyle może wytrząsnąć z siebie życia na scenie, tyle wrzawy, ruchu i chichotu. Zasluga to autora i aktorów. Jeszcze raz potwierdza się dramatyczny zmysł krakowskiego pisarza, umiejętność operowania skrótami i konstruowania zdarzeń, jeszcze raz uwidoczniła się tempo akcji, częsta zmiana scen, natężenie scenicznego ruchu. Trzeba być nie lada majstrem, aby blachostkę taką, prościutką fabułę popychać interesującymi zdarzeniami i dialogami do przodu. Bałucki pisał jakby na scenie. Pisał celem natychmiastowej realizacji teatralnej — teksty dla reżysera, nie dla czytelnika.

Rzecz dzieje się — a gdzieżby indziej? — w mieszczańskim saloniku, zastawionym jedynie kanapą, paroma fotelikami, biurkiem, a więc dającym możliwość swobodnego biegania, podrygiwania i piasania aktorów, zwłaszcza pań w kolorowych, falbaniastych sukniach i kapeluszach obwieszonych kwiatami i piórami. To ważny element widowiska. Zróznicowane kolorem i krojem stroje panów dopełniają obrazu rozbieganych i paplających kukiełek szopkowych z końca ubiegłego roku. Panoptikum wprowadzone w ruch przez reżysera szaleje, dzięki temu można patrzeć z widowni, po trosze dzie-

cinnie do poziomu wariujących postaci i cieszyć się wraz z nimi; wraz z aktorami uczestniczącymi w grze wyjętej z nieco archaicznego pudełka.

Aktorzy, zażywszy właściwego Bałuckiemu smaku i werwy, bawią się też wybornie. Leszek Kubanek w roli burmistrza ryczy jak lew, żeby sobie dodać znaczenia i odwagi. Sławomir Rokita jako Feliks (chyba pierwsza większa rola tego aktora) jest safandulą i zaleknionym mięczakiem jak się patrzy. Marian Cebulski, wcielony w Filatyńskiego, z wdziękiem udaje domowego władcę, podreptuje ulegle koło żony i robi oko w stronę publiczności. Jerzy Sagan z powagą obnosi pozorną przenikliwość i wiedzę medyczną lekarza Dmuchańskiego. Hilary Kurpanik udatnie debiutuje na krakowskiej scenie, używając sylwetki, czystego głosu i giętkich ruchów pustej i żalostnej figurce dziennikarza Saturnina. Ale jeszcze lepiej prezentują się kobiety, owe niewolnice, panujące nad mężczyznami. Anna Tomaszewska, Anna Sokółowska i Maria Nowotarska, niewolnice-władczynie swoich mężów, intrygantki, strojnisię, salonowe damulki, zgłodniałe towarzyskie zabawy. Jakże byłoby bez nich smutno i szaro. Kiedy tylko przestają migotać motylimi kolorami i szczebiotać podnieconymi głosami, spektakl marnieje, pozwala widzowi uciekać myślami do pozateatralnej rzeczywistości. Niestety, takich przestojów, dziur, jest parę w tym przedstawieniu. Bywa tak, kiedy pojawia się na scenie i wygłasza swoje kwestie para postaci pozytywnych, poważnych: Milicz (Tomasz Miedzik) i Wanda (Iwona Omakowska). Niewdzięcznie gra się w sztuce Bałuckiego takie role.

Ach, ale przecież jeszcze trzy emancypantki i trzy aktorki: Irena Szramowska, Krystyna Hanzel i Halina Zaczek. Ich dwa wejścia na scenę, ich uczesane figury i groźne interwencje w poważne sprawy wyzwolenia kobiet wywołują salwy śmiechu.

Może choć raz drgnął życiem pomnik Bałuckiego?

KAZIMIERZ KANIA

Teatr im. Juliusza Słowackiego w Krakowie: „Niewolnic z Pipidówki” Michała Bałuckiego. Reżyseria: Zbigniew Bogdański, scenografia: Aleksandra Sell-Walter. Premiera 23 XI 1986 r.